

Kronika tygodniowa.

Wspominając w jednej z poprzednich kronik o magistrackim proroku, nie myślałem bynajmniej, iż go przez to dotknę. A jednak tak się stało. Moją notatką uważał się obrażonym i nadesłał mi list, w którym streścił to, co już powiedział, zapewniając nadto, że jeszcze powie, gdy czas przyjdzie odpowiedni.

Bardzo żałuję, że nie mogę wywodów jego podać *in extenso* do wiadomości ogółu, choć na to w zupełności zasługują, w wojennym przecież czasie jest się skrupowanym różnymi względami, głównie zaś cenzurą, która z wszelką pewnością lwia część jego wywagań zabrałaby dla siebie, pozostawiając tylko sam szkielet. Z niego zaś nie mógłby nikt, jak się to potocznie mówi, „być mądrym“. Prorok to istota wyższa, obdarzona wieszczym duchem i dająca się nieraz zbyt unieść proroczej fantazji, nie licząca się też z rzeczywistością, z którą kronikarz liczyć się musi na każdym kroku, nie chcąc, by jego tygodniowa praca świeciła białymi plamami.

Są one, co prawda, bardzo interesujące, każdy bowiem z Czytelników, zwłaszcza zaś Czytelniczki łamią sobie nad tem głowę, co też tam być mogło, gdzie jest tylko biały papier, ale w każdym razie lepiej, jeśli się można obejść bez tych plam.

Lepiej na tem wychodzi nawet i sama redakcja, gdyż nie jest molestowaną przez P. T. Ciekawych, chcących wiedzieć, co też było w tem miejscu, którego niema, a nie mogących zrozumieć, że takiej tajemnicy zdradzić nie wolno, jeśli się nie chce wejść w konflikt z ustawą prasową, która jest rodzoną siostrą ustawy karnej i może także zapewnić na pewien okres czasu bezpłatny wikt i pomieszkanko na koszt rządowy.

Są też ludzie, którzy *ex re* białych plam w piśmie zwracają się do wydawnictwa z uzasadnionymi zresztą pretensjami, iż płać za papier zadrukowany, a nie za czysty.

Z tych więc powodów, wyżej i niżej wyliczonych, nie mogę przepowiedniom proroka magistrackiego poświęcić takiej wzmianki, na jaką zasługują. Mogę się i muszę nawet ograniczyć tylko do tych kilku słów, iż jak dotąd, z małymi wyjątkami prawie wszystkie się spełniły. Chodzi teraz o to, by się spełniła najważniejsza przepowiednia, to jest, iż obecna wojna skończy się w październiku (dałby Bóg, by w roku bieżącym, choć tego prorok wyraźnie nie powiedział...), gdyż piątą wojenną zimą będzie nam trudno przetrzymać.

Wobec tego byłoby ze wszech miar wskazaniem, by ów w proroczym natchnieniu zapowiedziany październik, przypadł w samej rzeczy na rok Pański 1918.

Niechaj jednak nikt nie myśli, że, choćby się nawet w październiku roku bieżącego wojna miała skończyć, to już raz na zawsze w łeb weźmie. Broń Boże!.. Prorok wyraźnie zapowiada, że w pewnych odstępach powtórzy się jeszcze, ale daleko od nas, a o stałym i zupełnym pokoju nie można mówić przed rokiem 1957.

Termin zbyt daleko zakresłony, ale kronikarz powiedział sobie, że, niech będzie co chce, poczeka cierpliwie nawet i do tej daty, by się przekonać, czy się prorok nie omylił.

To jedno może nas pocieszać, że te następne wojny, które mają według jego przepowiedni wybuchać w pewnych odstępach czasu, będą od nas oddalone, że się więc na naszej skórze nie odbiją. Jak obecna. Jako osobiste nie interesowani, będziemy mogli odegrać wówczas rolę państw neutralnych, to jest w myśl przysłowia, że gdzie się dwa bije, tam trzeci korzysta, robić na wojnie dobre interesy, jak to dziś czyni Szwajcaria, Holandia, Szwecja, Norwegia itd. Nawet Hiszpania źle na wojnie nie wyszła, pozbyła się bowiem, właśnie dzięki niej swej influenzy, która stamtąd wyemigrowała. Jedna Grecja na neutralności interesu nie zrobiła, ale to nie jej wina, ale fatalnego zbiegu okoliczności. Ona miała także chęć jak najlepsze.

W czasie przyszłych wojen otwiera się więc znowu pole do popisu dla naszych przemysłowców, niechaj też nie proszą Boga, by obecna wojna nigdy końca nie miała. Neutralne zyski mogą i powinny być rów-

niez bardzo pokaszne, pokaszniejsze nawet niż wojenne, zwłaszcza, że interesom można się oddać w zupełności, nie potrzebując się oglądać na jakieś tam „mnsterunki“, „Eithebnugi“ i tym podobne wojenne dolegliwości, dające się jeszcze i dziś, już w piątym roku trwania wojny, niejednemu we znaki. Niechaj każdy przemysłowiec pamięta o tem, że neutralna Szwecja tylko dzięki wojnie, zdala od niej się toczącej, mogła się pozbyć śmierdzących śledzi, co jej przychodziło przed- z trudnością.

To ich powinno uspokoić i chyba nie znajdzie się nikt, kto nie życzyłby sobie, by obecna wojna skończyła się tego roku w październiku. Co zaś do dalszych, to już przyszłość pokaże.

Gdzie szukać terenu dla nich, tego nie wiem, w każdym razie nie w Europie, która ma wojny już wyżej uszu. Azja i Afryka ucierniały dotąd stosunkowo niewiele, Ameryka zaś zupełnie nie, tam też powinny się rozegrać wypadki przyszłości. Wiadomą jest powszechnie rzeczą, że najczęściej wspólnicy przy obrachunku strat i zysków biorą się za łby, nie też nie byłoby w tem dziwnego, gdyby tak Stany Zjednoczone wzięły się za bary z Anglią lub Japonią, dawno już następującą im na pięty. Japonia mogłaby sobie przypomnieć, że przedstawiciele rasy żółtej, to jest Hindusi, jęczą od lat w niewoli angielskiej i zażądać dla nich prawa samostanowienia o sobie, które Anglia pragnęłaby stosować, ale tylko wobec ludów jej berłu nie podlegających. Ale czy Japonia o tem pomyśli?..

Niechaj się zresztą czubi kto chce, z kim chce i kiedy chce, bylebyśmy my tylko mieli spokój i mogli już raz odsapnąć po czteroletnim utrapieniu, które stało się naszym udziałem za winy niepopelnione. Anglia i Niemcy miały ze sobą obrachunki, a na tem wyszliśmy najgorzej my, Bogu ducha winni. Mamy wprawdzie w perspektywie Królestwo Polskie, ale ono ogromnie przypomina Królestwo Niebieskie, jest bowiem tylko obiecane, a nie ma granic. Ale wierzymy, że kiedyś stanie się ono naszym udziałem, a błogosławieni wierzący i cierpliwi.

Jeśli to prawda, że Lloyd George wybiera się w podróż do Berlina, to byłby to znak niechybny, że w samej rzeczy może nam grozić niebezpieczeństwo pokoju i nie też dziwnego, że, przeczytawszy o tem wzmiankę w *Morgenzeitung*, tak się tem ucieszyłem, jak łysy, gdy mu się śni, iż jest u fryzjera, a ten mu strzyże włosy, on zaś przy tej operacji nie potrzebuje nawet zdejmować kapelusza.

Czekajmy więc cierpliwie, choćby nawet i do października (byle nie do... maja!.. przyp. zecera), a kto wie, czy się czego nie doczekamy i czy nie spełni się przepowiednia magistrackiego proroka, któremu w nagrodę obliczę portret wraz z odpowiednim artykułem w *Nowościach ilustrowanych*.

Że, dzięki wojnie, świat wywraca się do góry nogami i to we wszystkich dziedzinach, tego mi chyba nikt nie zaprzeczy.

W poprzednim numerze odpowiedziałem „stałemu Czytelnikowi“ na poczynione mi zarzuty i dziś bardzo żałuję, iż się tak pospieszyłem, wczoraj bowiem dopiero znalazłem w jednym z pism niemieckich notatkę, udowadniającą niezbicie, jak brylantowo powodzi się w czasie wojny tak zwanym inteligentom, zwłaszcza z klasy urzędniczej. Czytamy tam, iż we Wiedniu zwykły czeladnik bednarski, sporządzający beczki dla producentów win, zarabia tygodniowo do tysiąca koron, gdy natomiast radca dworu musi się cieszyć tysiącem pięćset, a szef sekcyjny tysiącem ośmset i to miesięcznie.

I dziwić się tu, że ten lub ów urzędnik, chcąc sobie byt poprawić, ogląda się za jakimś bocznym źródłem dochodu, a wiedząc, że inni robią interesy na handlu, sam handlu się chwytą. W przedwojennym czasie mówiło się o takim, że to człowiek praktyczny, pamiętający o przyszłości, dziś rzuca się nań gromy i wzywa od paskarzy. Naturalnie nie biorę tu w obronę tych, którzy zawodowo poświęcają się handlowi paskarskiemu i bez litości drą skórę z bliźnich. Tacy byli i są potępienia godni. Jeśli jednak ktoś na tem polu uczciwie pracuje, jedynie tylko dlatego, by sobie bodaj trochę dołą poprawić, na takiego nie powinno

się rzucać kamieniami i stawiać go w jednym rzędzie z niesumieniami spekulantami.

Kronikarz handlem się nie trudni ani zawodowo, ani przy sposobności, a jednak zrobił niedawno jeden jedyny interes wojenny. Sprzedał mianowicie parasol, którego nie używał. Był on wprawdzie jedwabny, ale już nie pierwszej młodości, przeszedł też w obce ręce za dziesięć koron, gdy w swoim czasie kosztował dwa naście. W chwili sprzedaży nie stały parasole tak wysoko w cenie, jak dziś, nabywca zadowolony był, że dostał go tanio. Sprzedający także, że pozbył się niepotrzebnego grata. Związszcza że uzyskana zań kwota obróciła na zakupienie dwu par sznurówadeł do trzewików, których właśnie potrzebował. Nowonabywca owym parasolem nie cieszył się zbyt długo, znalazł bowiem amatora, któremu go odstąpił za tę samą cenę, a ten ostatni wyszedł na tem kunnie najlepiej. Widocznie parasol ow był szczęśliwy... Poszedł z nim do kawiarni i tam odmieniono mu go na zupełnie nowy, jedwabny, o co się bynajmniej nie pogniwał.

Wspominam o tem dlatego tylko, aby przekonać „stałego Czytelnika“, że każdy z nas ma pewną żyłkę do handlu i jeśli go nie nadużywa, społeczeństwu krzywdy nie wyrządza. Bo, czy kto poniósł szkodę z tego powodu, że kronikarz sprzedał stary parasol, którego nie potrzebował, a natomiast kupił sobie sznurrowadła, bez których się nie mógł obejść?.. Jeden jedyny fabrykant parasoli mógłby się czuć pokrzywdzonym, iż owe pertraktacje handlowe odbyły się bez jego współudziału i on nie przytem nie zarobił.

Cyfrę mówią za siebie. Radca dworu pobiera miesięcznie tysiąc pięćset koron gały i z tego musi wyżyć wraz z rodziną, jeśli był tak nieogłdnym i, nie spodziewając się wojny, ożenił się, gdy mu się na miłość zebrało. Niebiosa obdarzyły go potomstwem, trzeba więc myśleć o tem, by rodzinie dać dach nad głową, okryć ją i wyżywić, nie mówiąc już o jakichś tam przyjemnościach, bez których życie się nie obejdzie.

I jak tu opędzić to wszystko z owego tysiąca pięćset koron?.. Jest to na oko może i poważna kwota, w samej zaś rzeczy, wobec obecnych stosunków i drożyzny, tak mała, że dobrze sobie trzeba nałamać głowę, by z niej opędzić najniezbędniejsze potrzeby.

A ile to musiał się nabiedować i namęczyć, nim dochrapał się tego stanowiska, którego mu inni zazdroszczą, ani nie myśląc nawet o tem, w jakich on się czasem znajduje tarapatkach finansowych!.. I to, niestety, zbyt często, chyba, że ma prywatny majątek. Ale takich szczęśliwców, którzy mieli bogatego ojca, nawet i pośród radców dworu jest niewielu.

I cóż ma robić w tem krytycznym położeniu?.. Chyba się powiesić!.. Szuka więc środków ratunku i szczęśliwy jest, jeśli je znajdzie. Racyę miał ten, kto dołą urzędniczą nazwał „błyszczącą nędzą“.

Jakżeż wobec owego hojnego nposażenia wygląda teraz żądanie kelnerów, domagających się, jak to z nast jednego z przedsiębiorców gospodnio szynkarskich slyszalem, zamiast dawnych napiwków lub podatku, trzech tysięcy koron miesięcznej płacy i całego utrzymania?.. Czy to może trochę nie za dużo?.. Toć i minister, co także we fraku chodzi i różnym ludziom musi się kłaniać, więcej nie pobiera, zwłaszcza, że o utrzymanie sam się musi starać!..

Kelnerom należy się także poprawa bytu, ale w pewnych granicach, w jakimś stosunku do innych klas pracujących równie uczciwie i wydatnie, bez których trudniej nawet byłoby się obejść.

Napiwek, to coś nblizającego godności człowieka. Na to zgoda. Daleko odpowiedniejszym byłby pewien przymusowy podatek, ale nie w tej wysokości, w jakiej go kelnerzy proponowali. Najodpowiedniejsze przecież byłoby utrzymywanie kelnerów przez gospodarza, który mógłby bez obawy na ten cel pewną część swych dochodów poświęcić, zwłaszcza że uwzględniłoby to przy normowaniu cen potraw i napojów, tak, że ucierpiałaby na tem jedynie kieszeń konsumenta.

Są przecież między publicznością restauracyjną i kawiarnianą zwolennicy napiwków, wychodzący z tego założenia, że tylko w tym wypadku bywają należycie przez personal obsłużeni, że więc z chwilą zniesienia napiwków lub zamiąny ich na przymusowy podatek, byłby skazani na łaskę i niełaskę obsługi.

Czy mają ci, którzy wychodzą z tego punktu zapatrywania, rację, w to nie wchodzę, gdyby mnie przecież kto o zdanie zapytał, powiedziałbym, że obowiązkiem gospodarza jest utrzymywanie personalu i stąranie o niego, a jak się tam już oni między sobą utożą, to nie nasza rzecz. Grunt, by nasza kieszeń na tem nie ucierpiała.

Wiem o tem, że tak, jak dziś rzeczy stoją, są w krakowskich zakładach gastronomicznych kelnerzy, mający takie dochody, iż nie zmieniliby się na stanowisko już nie z radcą dworu lub wiedeńskim bednarzem, ale nawet z ministrem z taką i prawem do emerytury.